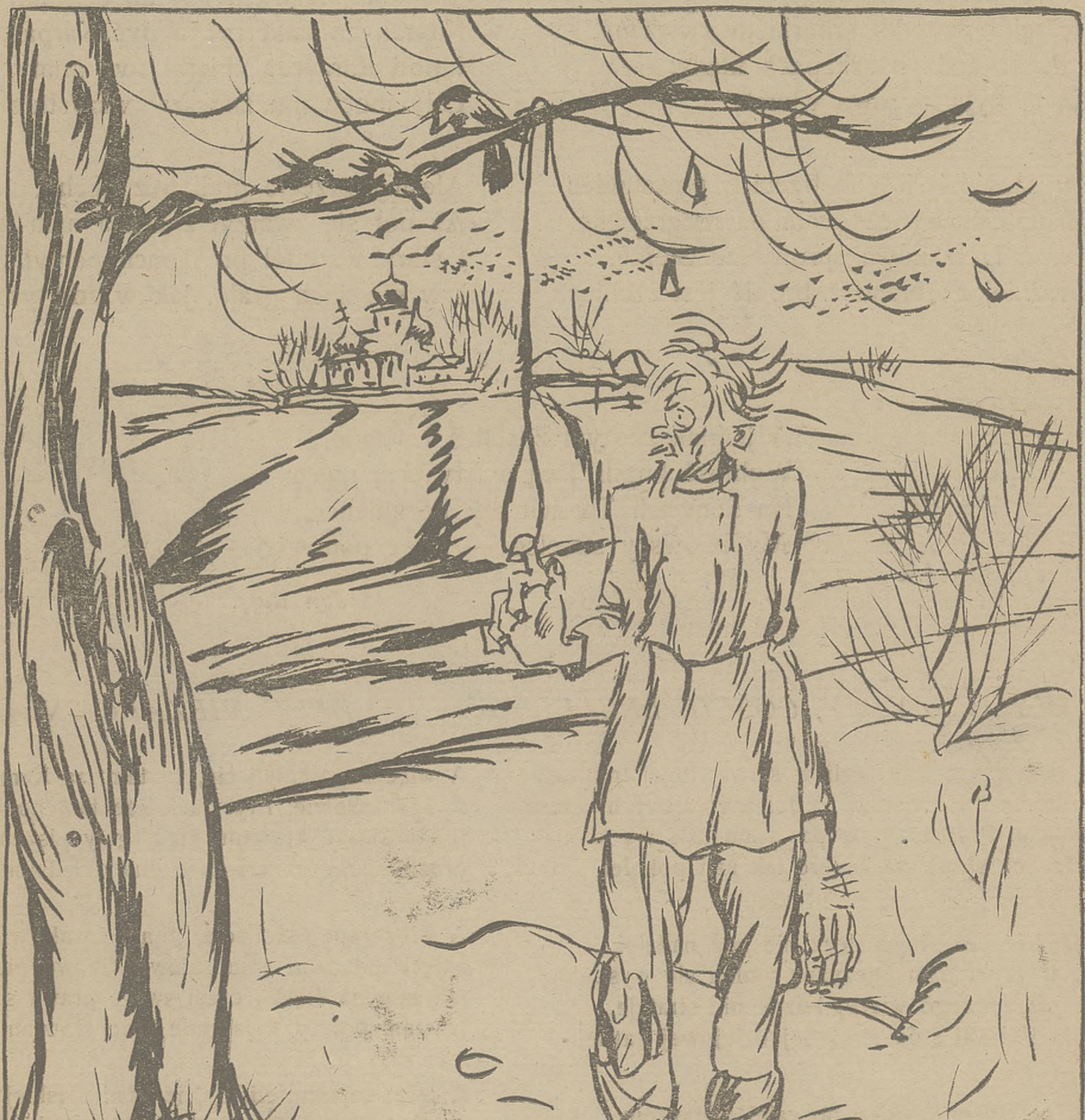
3 XIX.

Cena 2 m.

Łazik



Na gałązce drzewa
ptaszek ślicznie śpiewa,
a w komunistycznym raju
człek się byczo miewa.

„SZARE PANOWIE".

Lwowskim orlętom.

Na Personkówce lub w Stryjskim parku,
Na placu Bema, Zamarstynowie,
My bezimienne szare panowie,
Życie ci dali, Polsko, w podarku!

Na Cytadeli armata stara,
A w ręku werndel sznurkiem związany,
Na dorożkarskich szkapach ułany: —
Taka ci była morowa wiara!..

Z lat sześćdziesiątych trzecich powstaniec
Grał na „maszynce" nam na rozgrzewkę;
Grześ z Łyczakowa sprowadził Stefkę,
Bo raźniej z „brzaną" bronić jest szaniec.

I z pod Brzuchowic mały chłopczyna,
Ledwo zrachować umiał do pięci,
Z ojcowską flintą wśród nas się kręcił,
W łeb za dnia waląc wrażego syna.

Zaś komendantem był na odcinku
Kapral, co zmierzył kiedyś Karpaty
I pod Rarańczą zbierał swe gnaty,
Gdy moch mu zmieszał wszystkie w ordynku.

Aleśmy przecie prali bez dechu,
Aż pot się zwarzył z krwią nam na twarzy
I stary werndel po łapach parzył,
I w piersiach grało, jak w zdartym miechu!

* * *

A jednak naszym zostałeś Lwowie,
Wolność kupili Twą w krwawej męce
Na szańcach Twoich my bezimieńce,
My lwowscy strzelce — szare panowie! —

Jan Ruff.

WY WSZYSCY, COŚCIE LEGLI...

Wy wszyscy, coście legli w skrwawionej transzei,
bez szarży legli, czekać na dzień zmartwychwstania—
żegnajcie! Polska oto w pas wam dziś się kłania,
żeście bez słowa na śmierć tak szli pokolei.

Konaliście bez słowa, lecz nie bez nadziei,
że z tej krwi nam Ojczyzna wolna się wysnuje;
dziś już żadnego więcej kozak nie stratuje,
wstała Polska! śród strasznej dziejowej zawiei.

Hen, rozrzucone groby po całej Ojczyźnie
powiedzą wasze czyny. Z waszej krwi się snuje
legenda, co brzmieć będzie w setne pokolenia.

Za sny ojców rycernych, wydarte siwiźnie,
za waszą krew, śmierć waszą, za wasze cierpienia —
dziś potężna i silna Polska wam dziękuje.

DŁUG NIEZAPOMNIANY.

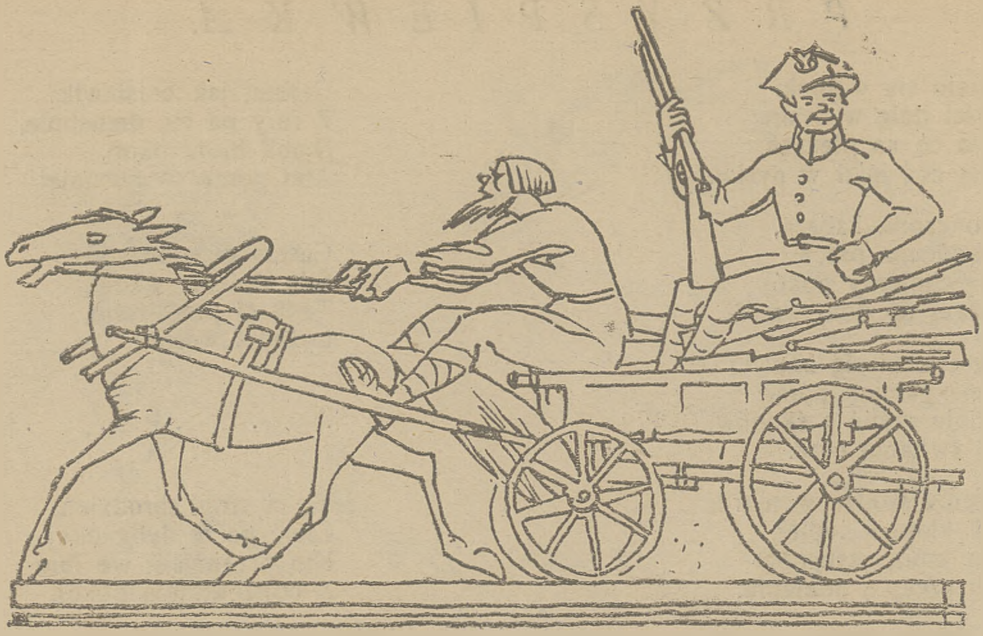
A więc zapomnieliście, że tam, za Karwiną,
w Jabłonkowie, Frysztacie, że tam poza Spiszem,
rodak śląski, któremu madrygały piszem,
próżno oczy obraca za rodną dziedziną?

A więc zapomnieliście, pijąc chwały wino,
zajęci układami z moskiewską sowdepią,
jak tam na śląsku czesi swoje prawa szczepią:
jak tam polacy w jarzmie braci-słowian giną?

A więc zapomnieliśmy, iż krwi śląskiej piany
stopiły się już dawno w świetny rubin krwawy,
iż tam górnik w szalonej rozpaczy drze szaty?

— Nie! nie zapomnieliśmy, że czas dziś w miecz rdzawy
zakląć wszystką tęsknotę zemsty i ból krwawy
i wszystek polskiej duszy dług niezapomniany.

Zygmunt Zaleski.



Choć-em polak z duszy, ciała,
matką jest mi ta Ruś Biała.
Swojak jestem na wsi, w mieście,
więc mnie prosto drogą wieźcie.

ODEZWA NIEMIECKIEGO KOMITETU KATOWANIA ŚLĄSKA.

NIEMCY!

Zbliża się chwila stanowcza! Wrogowie Niemiec chcą Germanji zadać straszny cios w samo serce.

Śląsk Górny, który od wieków trzymały z całych sił niemieckie ręce; kraj, stanowiący naszą bezsporną własność, jako że zastawili go po pijanemu potomkowie Władysława II u następców Fryderyka Barbarossy, gdy zgrali się w brydża i nie mieli gotówki na zapłacenie karty w klubie; kraj, który zatem stał się fantem niewykupionym, bo Piastowicze nawet procentów nie płacili, choć nasi wspanjałomyślni książęta liczyli im zaledwie 25% tygodniowo od pożyczonej sumy — jest i pozostać musi naszą niewątpliwą, prawą, świętą własnością.

Niemcy!

Polacy nazywają Śląsk ziemią Piastowską.

Tak! Ale nie dodają, że Piastowie śląscy, pochodząc od Agnieszki, córki Leopolda austrjackiego, przylgnęli całą duszą do narodowości niemieckiej, co im przyszło tem łatwiej, że — jak stwierdzają kronikarze — owa Agnieszka była osobą wolnomyślną, dobrego serca, a pamięć miała tak krótką, że zapominała się nieraz z własnymi forysiami i ptasznikami z Tyrolu.

Czyż to nie daje nam podstawy do twierdzenia, iż, począwszy od XII wieku, Piastowie śląscy raczej tyrolczykami byli, niż polakami?

Czyż to nie powinno wzniecić w każdym szczerym niemcu gorącej chęci do bronienia tej tak krwawo, tak uczciwie zdobytej przez nas ziemi?.

Niemcy!

Polacy rozgłaszają po świecie, że lud na Śląsku Górnym jest polski. Tak, lud jest polski, ale węgiel jest niemiecki! A czyż my zatrzymujemy ten lud na Śląsku?

Broń Boże! niech sobie stąd idzie precz!

Wszystkim polakom, którzy w swej przewrotności, mieli śmiałość urodzić się na Śląsku, gotowiśmy przepustki darmo dać, choćby do nieba, pobierając tylko coś niecoś za entlausungszajny.

A więc każdy, komu niemieckie bije serce pod ciepłą, włóczkową kamizelką (za takie kamizelki teraz w Polsce po 1000 marek płacą) .. kto po niemiecku myśli, po niemiecku czuje — niech spieszy ratować zagrożoną prowincję.

Niemcy!

Oto zbliża się dzień sądu — dzień plebiscytu.

Wszyscy na Śląsk!

Głosować!

Niema niemca, któryby nie mógł dowieść, że ktoś z jego przodków był bodaj dwa dni we Wrocławiu lub Katowicach. A to wystarczyć powinno naszym komisjom dla danja mu dokumentu, że jest rodowitym ślązakiem. Przedewszystkiem zaś niech jadą tam wszystkie Schlesigery, Schlesingery, Breslauery i t.p., noszący nazwiska, wyraźnie wskazujące bezspornie śląski rodowód. Niech jadą ci, których choćby przejazdem w wagonie, matki urodziły na stacjach i przystankach kolei śląskich. Niech jadą ci, którzy ziemię tę dobrze znają choćby tylko z mapy.

Wszyscy na Śląsk!

Wszyscyśmy dziś ślązacy! I wszyscy też mamy prawo stanąć do urn plebiscytowych w obronie naszej świętej sprawy.

Śląsk musi niemieckim być.

Gott mit uns!

Niemiecki centralny komitet
ratowania Śląska Górnego.

PRZYSPIEWKA.

Kciało sie wojocki
Naści dolę w zysku:
Tyla co na plecach,
Tyla coś miał w pysku.

Skończona kaljera,
Zakońcuna praca:
Bez cholerny pokój
Bażant do dom wraca.

Bandzie ci się znowuj
Kiele gumien porać:
Świnie gonić z škodów,
Od świtania orać.

Weżnie srodze w mordę
Lub kłonicą lepiej,
Kiej którą uszczypnie
Lub szczyptę poklepie.

Oj, bidna sirota
Siądzie se pod płotem,
I nieraz w załości
Myśleć bandzie o tem:

Jako miał srebrzysty
Z wężykami kołnierz,
Świat mu bił pokłony,
Jako że był żołnierz.

Oj, bandzie wspominał
I srodze się żalił,
Jako tyfusowe
Papirusy palił.

Siedział se jak sołtys
W morowym okopie:
Całkiem nic nie robis,
Jeno strzylos, chłopie!

Casem, jak bolsiewik
Z rury na cię dmuchnie,
Djabli biorą okop,
Abo gorzy — kuchnię!

Casem ci somsiadów
Siłę zmiecie wkoło,
Tedy ci przestrono,
Luźno i wesoło.

. . . . .

To ci srogi zbrodzień,
Choć go w dyby okuj,
Kto przemyślił we łbie
Z bolsiewikiem pokój.

Jedna się nadzieja
Ta uśmiecha zgoła'
Że może mnie jeszcze
Potrzeba zawoła.

Że może raz jeszcze
Do wojska zabierą,
I kapral mi znowuj
Krzyknie: — stój, cholero!

I do paki choćby
Razik mnie zawiodom:
Tera zaś, jak głupi,
Wracać musę do dom!

Francesco.

PIOSENKI ŁAZIKA.

(Na nutę: „Nie masz nad żołnierza szczęśliwego człeka").

Nie masz nad polaka
Szczęśliwego człeka,
Może nic nie robić—
Gotówka go czeka.
Sprzeda stary surdut
Za *em* tysiąc trzysta
Kupi „miljonówkę"
No i sobie śwista.

— — — —
— — — —

Nie boi się krzywdy
Polak, bo ma Dziadka
Co sprał bolszom skórę,
Galanto, jak z płatka.
Dziś się Lenin w Moskwie
Wije jak ta glista —
Polak wraca z wojny
Ino sobie śwista.

— — — —
— — — —

Chciał nas Litwin okraść,
Aż tu dłonią silną
Pchnął go Żeligowski
I odebrał Wilno.
Bo że Wilno polskie
To jest sprawa czysta
Darmo Kowniarz wrzeszczy—
Polak tylko śwista.

— — — —
— — — —

Demobilizacja!
Broń składa świat cały,
Tylko się panienki
Nie wszystkie poddały,
Ale Łazik wszystkie
To rzecz oczywista
Zdemobilizuje,
A potem zaśwista.

— — — —
— — — —

ami.

Z PRZYZWYCZAJENIA.



Ochotnik w sierpniu — po mobilizacji.



Ochotnik w listopadzie — po demobilizacji.

CO MOWI ŁAZIK?

Miałem się przespacerować na Śląsk, ale po drodze z republiki sowdepskiej wdepnąłem na moment do Wilna i strasznie mi się tu spodobało. Naród przyśpiewający, śpiewający, jak te kogutki gliniane, a na każdego polskiego żołnierza, jak na brata rodzonego patrzący. Ledwo wejdziesz, witają, częstują wypytują...



Najgorsze, że sami niewiele do jedzenia mają.

Bo to najpierw, jak jeszcze one „n a s z e", niby carskie Wańki, bohatersko przed szwabami nura dawały, rabowały, co się dało, żeby nic „giermańcom nie ostawiać". Przyszły szwaby — i znów wzięli łupić, ino teraz już porządnie, do grontu z befelem w garści. Robili ci grande na hura, bo się bestyjstwu żreć chciało, a z własnego faterlandu dostawali tylko gazy trujące, z których nawet sam Nelson marnych klusków by nie zrobił.

Wzięli tedy psy po ulicach łapać i na kotlety siekać, koty na gęsie wątróbki łowić, wszystkie wrona brzegach Wilenki wystrzelali, a jakiś profesor gastrologii napisał trzytomową książkę, jak młode wronięta na kwiczoły przyprawiać i jak ze starych chudych wron pulchne pulardy gotować.

To kiedy ta szarańcza szwabska odeszła, całe Wilno odetchnęło. Ale cóż, dychnęło raz, drugi, a tu już masz nową biedę: bolszewiki przyszli. Jak zaczęli raj robić, tak pół miasta prosto do raju poszło, a druga połowa nieboszczyka Adamową modą półnago po mieście wzięła paradować, bo jej krasnoarmejce kapoty z grzbietów pozdzierali.

Teraz znowuj litwiny do miasta się dobierają i krzyczą na cały świat, że Wilno im się należy, bo je kiedyś, kiedyś jakiś ich książę zbudował. Ja tam przy tem nie byłem, jak Wilno budowano, ale rozglądam się prawem okiem, rozglądam się lewem okiem, a jakoś tu dzisiaj żadnych litwinów nie widzę. Nalazłem wprawdzie kilkanaście tercjarek, co, doczekawszy w panieńskim staniku sędziwych latek, kochają się w jednym litewskim wikarym i bez to do Litwy ciągoty mają — ale chyba na ich zawołanie Anglja na Wilję swoich krążowników nie pośle.

Widziałem także kilku prezesów klubu litewskiego, ale na dziesięciu jeden tylko po litewsku trochę gada, a reszta umie ledwie „ne supranto" (co znaczy po naszemu: nie rozumiem) powiedzieć. Ale najlepszy jest facet, com go niedawno spotkał. Jak byli moskale, nazywał się Jakowlew; przyszli niemcy, przerobił się na Jakobsohna; za rządów polskich — był Jakubowskim; za bolszewików — Jankielewem, a za litewskich czasów — Jakubajtisem.

Teraz chciałby znów zmienić „familję", ale nie wie, czy mu pasuje poprostemu Jakowlukiem się przezwać, a na Jakubowskiego wrócić nie może, bo go pod tym paszportem kryminały szukają. Więc biedak woli trwać przy swoim Jakubajtisie i u litwinów ratunku szuka.

Ale kiedy go przyszli pytać, jakiej jest narodowości, to pokazało się, że po litewsku ani be, ani me i nareszcie po polsku wyśpiewał, że mu wszystko jedno, bo on jest tutejszy i więcej nic nie wie.

Takich to właśnie rodowitych litwinów ma Litwa w Wilnie, a Matka Boska Ostrbramska patrzy na jeich brewerje do czasu spokojnie; ale jak się którego dnia rozgniewa, to wszystkim tym odmieńcom bebechy flakami do góry poodwraca i wtedy pokaże się, że od wnątrza każden wilnianin polak jest i koniec.

W SĄDZIE.

— Kocmołuch Agata!

— Jezdem.

— Jesteś pani oskarżona o podrapanie do krwi własnego męża. Czy pani nie wiesz, że mąż, to głowa twoja?

— Ady, wielebny sędzio, czy to mi się we własną głowe podrapać nie wolno?

DOSTAŁA.

— Widziałam wczoraj kochaną panią w ogonku. Dostała co pani?

— A dostałam, dostałam!... kataru.

MIĘDZY BOLSZEWIKAMI.

— Nu, co, mamy nareszcie pokój.

— A, tak, z polskiem obiciem.

NUDY.

— Co robiłeś wczoraj po południu, bo jak słyszę, dostałeś z koszar przepustkę.

— Byłem z Mańką i Zośką w kinie.

— Dobrze się bawiłeś?

— Marnie, powiadam ci, odżałować nie mogę, że tam poszedłem. W oświetleniu coś się popsuło i na sali nawet podczas pokazywania obrazów ciągiem było jasno.

Z ROZMOW TELEFONERA.

Pewnego dnia przychodzi do kawiarni na Gęsią Telefoner wielce zasmucony i wzburzony.

— Co tobie jest? — pyta go przyjaciel Kurcszwanc.

— Co mnie ma bicz. Ty wisz, co umarł Abram Pipek?

— Co, Abram umarł? Taki zdrów człowiek! Co jemu sze stało?



— Ty sobie wiobraż, co on umarł od doktora?

— Od doktora? Co ty cosz gadasz!

— Posłuchaj. Tera je wielkie drożyzne na papier, to doktory uni chcom zaoszczędżyć na papier od pysanie recepte. Uni biorą stare papiery z różnym zaproszeniem na szlub, na pogrzeb, na chszczyny i na druge strone piszę recepte.

Pipek bił chory trochę na wątrobe. Un idże do doktora i ten mu napysał recepte na takie używane zaproszenie. Un wzion recepte: czyta. „Codżennie dwie łyżki rano... Pogrzeb jutro o 3 popołudniu".

To jemu wistarczyło na jego delikatne serce, żeby na miejscu umrzeć.

*

Czasami jednak błogosławi Telefoner lekarzy. Zdarzyło się, że raz po rybie rodzina zaniemogła. Telefoner zadecydował, że trzeba posłać do „analizy".

Dla oszczędności zmieszał wszystko do jednej butelki.

Analiza nic nie wykazała.

— Uj, co za szczęszcze, Salcia — mówi Telefoner — nikt nie potrzebuje wyjechacz na kuracje.

*

Kurcszwanc, ja mam dla ciebie zagadke. Ty powiedz mnie, jaka jest różnice między weksel a kubyte?

— Czy ja wim.

— Ja tobie powim. Weksel to sobie chodży, chodży po cały szwiat i wróczy do wystawcy z podpisami wszystkich żyrantów. Kubyte to tyż obejdże cały szwiat i tyż wróczi do cziebie, tylko żadnego żyranta to ty nie widżysz.

*

Raz Telefoner zrobił malwersację na 200,000 marek. Po różnych staraniach za kaucją puszczono go na wolność. Przed sprawą idzie do adwokata, żeby go obronił.

Adwokat wysłuchał całej spraw i powiada: Przyznaj mi się pan, czyś pan rzeczywiście ukradł te pieniądze. Jest mi to potrzebne do obrony.

— Że ja ukradłem, to mogę powiedżeć panu adwokatowi; ale, gdże ja schowałem te piniądze, to ni ma głupich...

*

Czytałeś Telefoner—mówi Kurcszwanc—w „Łaziku" napisali jak ty przygotowałeś żonę sierżanta na śmierć męża.

— Co ty mówisz. Ja tobie powiem lepszy kawał. Raz u nas umarł w dywyzjonie jeden kapral. Wądołek.

Mnie mówią, coby delikatnie telegrafowacz do rodżyne. Ostrożnie: krótko.

To ja wysłałem takie depesze:

— Wądołek sze trochę przeżębył.

Jutro pogrzeb.

— Co, ja mam łeb?

*

— Telefoner, dlaczego już nie jesteś ordynansem u porucznika?

— Dlaczego? Un jest zwiczajny, arogancki człowiek. Raz un miał jechacz o piątej rano służbowo do Warszawy. O godżynie czwartej ja jemu szturcham w bok i wołam: panie poruczniku! — Un sze zerwał i pita: Co jest? To ja jemu mówię: Nic sze nie stało, tylko niech sze pan porucznik wyszpi, bo za godżyne trzeba jechacz.

To co ty powisz? Un mnie dał w łeb i wyrzuczył nazad do tabory. I rób tu komu dobrze.

*

Podczas zajęć w szkole dla analfabetów w dyjonie, nauczyciel pyta Telefonera?

— Powiedz mi co to jest jajko?

— Jajko to jest rzeczownik.

— No dobrze, a jakiego rodzaju?

— Psiepraszam panie plutonowy. A jak kubyte ma miecz dżecko to pan wisz jakiego uno bedże rodzaju?

To z jajkiem tak samo.

*

— Wiobraż sobie, Kurcszwanc, moje hystorje. Jadę niedawno w nocy z tabory przez las. Woźnica tyż był starozakonny.

Naraz z za krzaki w sam szrodek las wiskakuje dwanaszcze wilki.

— To nie może bicz.

— No dwanaszcze, to mnie sze pomilało. Ale dżeszęcz buło. Uni szadły na tylne łapki i mówią do nas „pi, pi, pi".

— To przecież myszy były!

— No a dżeszęcz miszy na dwa żydki to mało?

M A D E L O N

(Dalszy ciąg)

Po miesiącu cały front znał Madelon. Gdzie tylko mignęła jej czerwona spódniczka, gdzie zaturkotał jej wózek, tam był zawsze ścisk i śmiechy.

W pochodzie, czy na postoju, w chłodne noce jesienne, czy w letnie jasne wieczory Madelon żartuje, kręci się, jak fryga, a na wszystko odpowiedź znajdzie, że boki zrywać.

— Madelon! — woła któryś urwis — co tam można u ciebie dostać?

— Wszystko.

— A buzi?

— Także.

— To daj.

— Ano, pocałuj moją szkapę w nos.

— Głupia jesteś! — woła rozgniewany frant.

— To odsuń się—mówi spokojnie Madelon— bo możesz się zarazić.

Naturalnie, wszyscy w śmiech.

A niech się bitwa rozhula, Madelon na tyłach usiedzieć nie może. Wózek pod czyjąbądź opieką zostawi i rwie do chłopców na pozycje. Wnet jej czerwona kiecka to tu, to owdzie miga. Poczciwe dziewczynisko jednemu szklankę wina poda, drugiemu papierosa do gęby wetknie, innemu skrwawioną łapę bandażem okręci... Skończy się bitwa — obchodzi pole z sanitarjuszami i pilnuje, żeby o jakim rannym nie zapomnieli.

Z czasem to się i do prawdziwej żołnierskiej roboty Madelon włożyła. Najdzie se gdzie karabinek, ułoży się w rowku i grzmoci. A co szwaba którego uprzątnie, pobożnie westchnie za jego duszę, że niby co się ma w piekle mordować, kiedy już tu nikomu, świńtuch, w szkodę nie lezie.

Kochał też Madelonkę cały pułk—a kilkunastu chłopców kochało się w niej na zabój. Ale niezdobyta była, jak twierdza Belforcka. Gdy który zanadto sobie pozwolił — wnet ze spuchniętą jak dynia gębą chodził po obozie. A koledzy śmieli się.

Pewnego razu zniknęła Madelon z pułku. Jakby kamień w wodę... Rwetes ci się straszny zrobił wśród wiary. Ślady wskazywały, że wraz z wózkiem, wysunęła się poza linję frontu i wpadła z całą swą kantynką, pełną czekolady, papierosów, mydła i innych różności, w pazury szwabom.

Biedna Madelon, opadnięta niespodzianie przez dwu prusaków w pikelhaubach, straciła na krótką chwilę rezon, ale wnet oprzytomniała.

— Ciekawość, co te mordy myślą ze mną zrobić? — myślała, patrząc na niemców, łakomie opróżniających jej małą kantynkę.

Dziewczyna ręce miała związane i nie mogła sobie nawet poprawić warkocza, co jej na plecy opadł. A tymczasem żołnierze chwilę pogadali ze sobą, następnie pomogli Madelon wgramolić się na wózek, sami siedli po obu jej stronach, a starszy, z sumiastemi wąsami i małemi od piwa oczkami, ujął cugle i popędził konika.

Niebawem zatrzymali się przed domem, którego połowa leżała w gruzach, a nad oknami drugiej połowy wisiał szyld z jakimś napisem niemieckim.

(Dok. n.)



— Jak panu dać proszek perski? W pudełku, czy w torebce?
— Naco pudełko?... naco torebka?... syp pan odrazu prosto za kołnierz.

UKRAINIEC.

— Słyszałeś? „Hromadska Dumka" donosi, iż Budiennyj ogłosił się ukraińcem.

— Co mu szkodzi? Jest dziś generałem międzynarodowego proletarjatu, więc, jak zechce, do każdej narodowości należeć może.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pani Br. Piątk.... we Włocławku. Za życzliwe uwagi serdecznie dziękujemy. Będziemy się do nich ściśle stosowali, gdy tylko zaczniemy wydawać drugi tygodnik humorystyczny — dla pensjonarek i starych panien. Ale i w tym wypadku na współpracownictwo Sz. Pani nie reflektujemy; nie możemy bowiem drukować utworów osoby, która „wzrósza" ramionami przez ó, a „ochydy" pisze przez ch.

Za radę — rada: niech się „Stara Polka" przedewszystkiem nauczy pisać po polsku.

Fantazemu. „Słowik na drzewku, pełen słodyczy,
siedzi sobie i tak ryczy"...

Jest to najlepszy ustęp pańskiego sonetu. Tyle też tylko wydrukować możemy; ale honorarjum autorskiego po 10 marek od wiersza Pan nie dostanie.

WARSZAWA 7-GO LISTOPADA 1920 r.

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK" Druk S. Michalskiego Chmielna 60.